Nr 22 (28), 27 LIPIEC – 2 SIERPIEŃ 1947
Cena 20 zł

Świat MŁODYCH

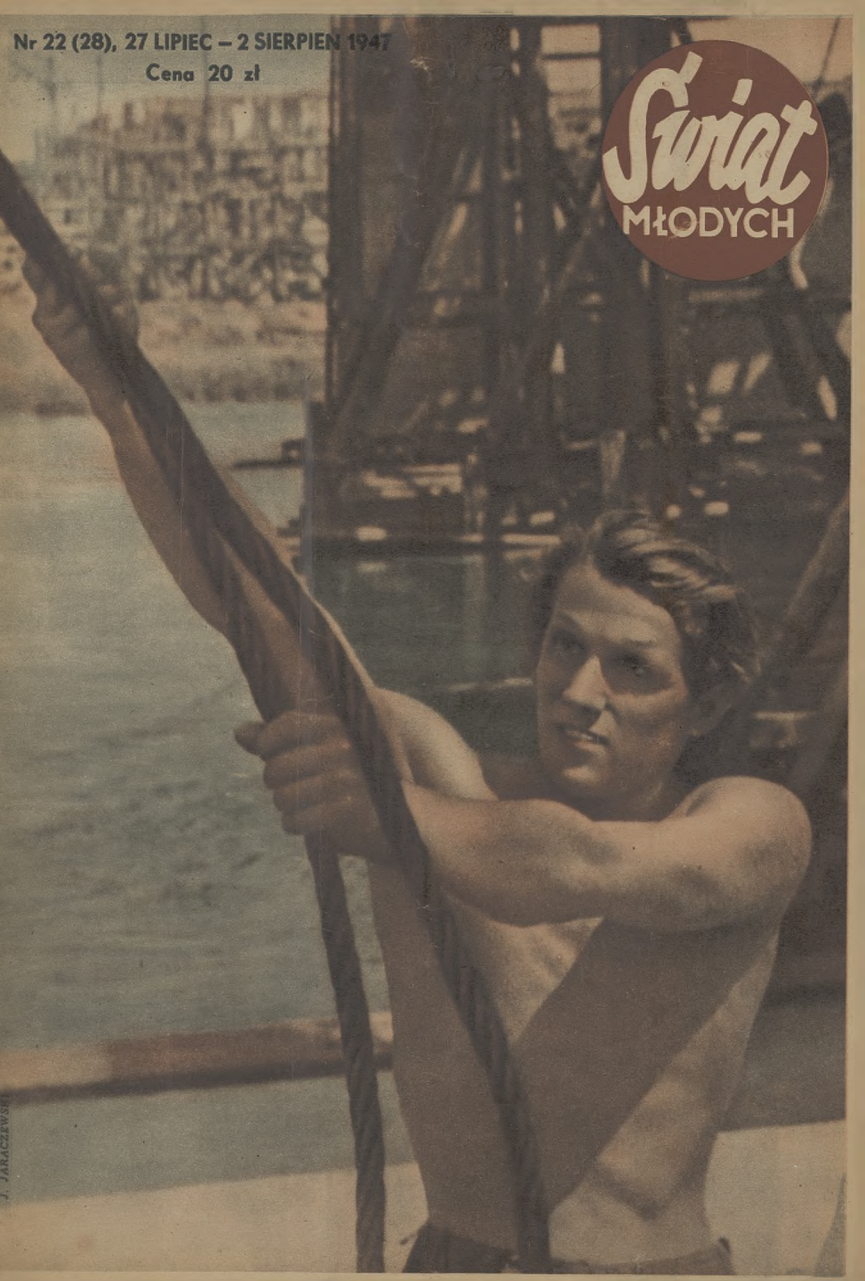

J. JARACZEWSKI

JESTEŚMY W PRADZE

W połowie lipca delegacja polska na Światowy Festival Młodzieży w Pradze opuściła kraj. Punktem wyjazdu była Sława Śląska, miejscowość, gdzie odbywał się wspólny, przedfestivalowy obóz wszystkich uczestników.

Około 350 Polaków wyjechało do Pragi. Pojechali przedstawiciele wszystkich organizacji młodzieżowych i młodzież niezorganizowana. Pojechały młodzieżowe zespoły artystyczne i sportowe. Pojechała wystawa, obrazująca osiągnięcia młodzieży w Polsce Odrodzonej i jej obecną sytuację.

Spotkamy się w Pradze! — Polacy, Czesi, Francuzi, Anglicy, Hiszpanie, młodzież Indii, ZSRR, Chin, Viet-Namu, USA, Iranu, Włoch, Nowej Zelandii — młodzież całego świata. Międzynarodowe święto przyjaźni zjednoczy wszystkich i jeszcze raz zadokumentuje wspólną drogę całej młodzieży wszystkich krajów: drogę pokoju i solidarności.

Ze świata

Oto Generał George Marshall, amerykański minister spraw zagranicznych, twórca słynnego „planu Marshalla". „Plan" traktuje o pomocy gospodarczej U.S.A. dla Europy, stawia przy tym na pierwszym miejscu odbudowę gospodarczą Niemiec, przeciwstawiając się tym samym uchwałom Poczdamskim.

Na konferencji trzech ministrów spraw zagranicznych (Bevin, Marshall, Bidault), jaka odbyła się w początkach lipca w Paryżu, delegaci W. Brytanii i Francji przedstawili swe plany „współpracy europejskiej", które, przewidując w Europie anglo-francuski dyktat, godzą w suwerenność zwłaszcza mniejszych krajów Europy. Na dzień 12 lipca zaproszono do Paryża delegatów 22 państw w celu omówienia brytyjsko-francuskiego projektu. Z.S.R.R, Czechosłowacja, Polska, Jugosławia, Bułgaria, Rumunia i Węgry zaproszenia nie przyjęły. Finlandia i Szwajcaria zgłosiły zastrzeżenia. Konferencję Paryską cechowała nuda i apatia. Charakterystycznym faktem była daleko idąca rezerwa państw skandynawskich oraz entuzjazm delegata Grecji, Rafaela, który z emfazą podkreślił, że Grecja rządowa uznaje te same zasady ekonomiczne, polityczne i moralne, co U.S.A.

W Strasburgu odbył się XI Kongres Francuskiej Partii Komunistycznej. Obecni byli m. in. Charles Tillon, Marcel Cachin, Maurice Thorez, Jacques Duclos i La Passionaria.

W Grecji trwają walki i terror wzmaga się coraz bardziej. Oto uwięziony partyzant grecki czeka na egzekucję.

Delegacja Rady Ustawodawczej kolonii angielskich Nigerii i Kamerunu przybyła do ministra spraw kolonii w Londynie, protestując przeciw wprowadzeniu nowej konstytucji. Niewątpliwie, oryginalne stroje nigeryjskich dostojników wywołają w Londynie należyte wrażenie i protest odniesie skutek.

Kardynał Griffin przekazał rządowi brytyjskiemu list niemieckiego prałata, Monsa, w którym zawarte są propozycje, dotyczące ziem, przyłączonych do Polski. Prałat Monse stawia trzy alternatywy: przywrócić ziemie te spowrotem Niemcom, utworzyć z nich republikę autonomiczną, lub wreszcie oddać je pod kontrolę międzynarodową. Fakt przyjęcia przez kard Griffina tego anty polskiego listu dziwi tym bardziej, że kardynał w czasie swego niedawnego pobytu w Polsce wyraził się jak najpozytywniej o naszych osiągnięciach i konieczności utrzymania obecnych granic zachodnich.

FOTO SAP

BUDUJEMY MOST

Rusztowania przy trzecim filarze

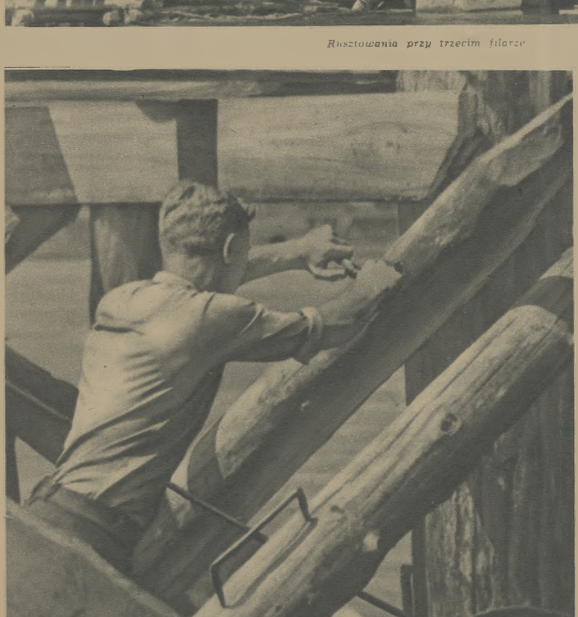

Budowa podstawy rusztowania

Idąc Wybrzeżem Kościuszkowskim w stronę dawnego mostu Kierbedzia zdaleka już widziałem olbrzymie rusztowania, otaczające zburzone filary. Wydały mi się puste i martwe, pozbawione ruchu i pracy ludzkiej, i zdziwiłem się, bo dzień nie był świąteczny. Dopiero zbliska — na przyczółkach, na betonowych szczątkach, na tle potężnej konstrukcji rusztowań, zobaczyłem setki maleńkich figurek, uwijających się w labiryncie desek i pni. To ludzie, którzy budują Warszawie nowy most, most Śląsko-Dąbrowski.

Jadąc później motorówką między filarami obserwowałem pracę tych ludzi zawieszonych między niebem a wodą. Do końca roku trzeba usunąć wszystkie nieużyteczne a przeszkadzające pozostałości mostu Kierbedzia, aby w przyszłym roku zacząć naprawdę „budować". Towarzyszący mi inż. Woliński pokazuje ręką rysę, ciemniejącą w filarze oznaczonym numerem 4. „To pęknięcie zadecydowało o decyzji całkowitej rozbiórki tego filaru" — mówi.

Podjeżdżamy bliżej. Robotnicy uzbrojeni w kilofy i młoty kruszą kawałek po kawałku twardy kamień. Jest to praca niewątpliwie bardziej żmudna i nieprzyjemna od rzeczywistej budowy. Jest jednak konieczna. Trzeba wykorzystać niski stan wody i usunąć gruz z części podwodnej i nadwodnej. Dlatego też obecnie pracujemy na dwie zmiany. Zatrudniamy 550 ludzi. Prowadzone są również inne prace przygotowawcze, jak: transport sprzętu i materiałów pomiarowych oraz instalowanie urządzeń transportowych poziomych i pionowych".

A obok szczątka filaru wznosi się coraz wyżej drewniane rusztowanie, które posłuży już do „budowy". Bo most stanąć musi jak najprędzej.

Nowy most „Śląsko-Dąbrowski" nie będzie w niczym przypominał dawnego „Kierbedzia". Konstrukcja jego będzie zbliżona raczej do konstrukcji mostu Poniatowskiego. Kilkunastometrowa pozostałość starej budowy na brzegu warszawskim będzie rozmontowana.

Chodniki i jezdnie (podobnie jak na Poniatowszczaku) znajdować się będą u góry. Projekt przewiduje dwie możliwości. Pierwsza z nich ustala szerokość jezdni na 13 metrów i dwa chodniki dla pieszych szerokości 2,5 m. każdy. Drugi wariant przewiduje budowę jezdni 15-metrowej z chodnikami o szerokości 3 metrów. Niewątpliwie druga możliwość byłaby bardziej korzystna dla komunikacji, lecz jej realizacja wymaga znacznych przeróbek w założeniu, jak np. przesunięcie osi mostu oraz większe przeróbki filarów i przyczółków.

Przy budowie mostu Śląsko-Dąbrowskiego po raz pierwszy w Polsce zastosowana zostanie „lekka jezdnia". Na znajdujących się blisko siebie belkach położona będzie blacha o grubości 10 mm. Zamiast betonu użyta będzie płyta drewniana o grubości 10 cm. a złożona z desek sosnowych impregnowanych, ustawionych na kant i zbitych gwoździami. Płyta znajdować się będzie na warstwie asfaltu i pokryta będzie z wierzchu również warstwą asfaltu o grubości 4 cm.

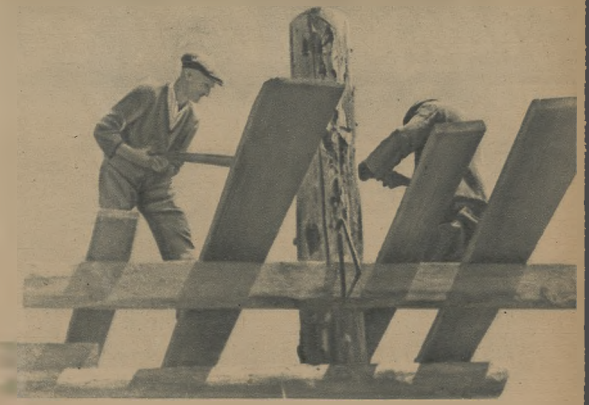

Prace ciesielskie

Chodniki będą wykonane z szorstkich płyt szklanych, umożliwiających oświetlenie z dołu. Całość otoczona będzie balustradą o szerokości 70 cm.

Rozpiętość środkowych przęseł wynosić będzie 80 m. Przy Skarpie warszawskiej ujście mostu przedłużone zostanie tunelem długości 300 metrów i przy Pl. Bankowym połączy się z Nową Marszałkowską (Północ — Południe). Ze względu na zabytkowe budowle okolicy Senatorskiej tunel przebiegać będzie 13—15 metrów pod powierzchnią.

Pod właściwą jezdnią projekt przewiduje budowę dwóch dodatkowych chodników dla pieszych z nadbrzeża Wisły i Wisłostrady. Będą to właściwie tunele o szerokości 2 metrów i wysokości 2,6 metrów. Na tych chodnikach zastosowany będzie prawdopodobnie taśmowy transport przechodniów przez całą długość mostu. Będzie to u nas atrakcyjną nowością.

Fakt, że budową mostu kierują tacy fachowcy jak inż. prof. Hempel i inż. Woliński gwarantuje nam powstanie najlepszego mostu w najkrótszym terminie.

Jerzy M. Jaraczewski.

FOTO J. JARACZEWSKI

Przygoda lotniczą

M. Wardasówna

Przyjechałam na uniłikacyjny kurs pilotów w Ligotce Dalnej opóźniona o całe trzy tygodnie, co nie było na rękę szefowi pilotażu. Zadecydował zatem, że po wyjeździe uczestników kursu w ciągu paru dni muszę przerobić wymagane zadania. Jednym z takich zadań był przelot w trudnych warunkach atmosferycznych. Bo — jak twierdził szef pilotażu — w żadną bezwietrzną pogodę wystarczy nare gulować maszynę, a ona już sama poleci.

Tego dnia otrzymaliśmy od szefa polecenie opracowania i przerysowania kilku tras na mapie, by szczegóły terenowe lepiej wbiły się w pamięć.

— Za godzinę polecimy do Częstochowy. Proszę dokładnie przestudiować przez ten czas mapkę — polecił szef, obserwując rozpędzane wiatrem chmury.

Nasza trójka dopiero co pasowana na rycerzy przestworzy, znalazła się wkrótce przed hangarami, gotowa do drogi powietrznej. Tu już szef pilotażu wydawał ostatnie polecenia mechanikom, po czym zwrócił się do mnie:

— Pani przed odlotem do Częstochowy zrobi jeszcze dwa okrążenia, bo coś z tym ładowaniem u pani nie w porządku. Trzeba się wreszcie wyzbyć ładowania na kółkach, zwłaszcza gdy przyjdzie ładować na obcych lotniskach.

Chociaż z niechęcią, poddałam się rygorowi wszechwładnego szefa. Na znak białej chorągiewki obsługi startu, ruszyłam pełnym gazem. Już kopy siana na skraju lotniska mignęły mi przed oczyma, gdy nagle samolot zamiast lecieć w linii prostej, skręcił gwałtownie w lewo. Napróżno próbowałam prawą nogą wyrównać kierunek — maszyna jak zwariowana pędziła na kopy siana. Momentalnie zamknęłam gaz i kiedy zdołałam zatrzymać samolot, poszukałam przyczyny błędu. I co się okazało! Nie przymocowałam prawej stopy paskiem do orczyka, a ponieważ byłam w drewniakach i te zamoczyły się na mokrej trawie lotniska, przy naciskaniu pedału, drewniana podeszwa ześlizgnęła się po okrągłej powierzchni żelaznego pręta, powodując ten niebezpieczny manewr. Bez namysłu podkowałam na start prosząc szefa, by mi pozwolił pójść do budynku szkoły zmienić pantofle. Oczywiście opóźniłoby to start. Szef zmarszczył groźnie brwi:

— Proszę zdjąć drewniaki i lecieć boso! Popatrzyłam na szefa z przerażeniem.

— Prędzej! Szkoda czasu — naglił, stojąc na skrzydle obok mojej kabiny i przytrzymując mi drążek sterowy, abym miała wolne ręce do zdjęcia pantofli. Skwapliwie odebrał mi drewniaki, po czym dał znak dyżurnemu startu.

Krótsza bez drewniaków przynajmniej o pięć centymetrów wcisnęłam się głębiej w siodełko, z ledwością opierając bose nogi na orczyka doskonale nadawały kierunek. Skręty zimny prąd. Bezradnie spojrzałam na kolegów, ale biała chorągiewka w ręku startera, który dał mi znak do startu, nie pozwalała mi dojrzeć w ich oczach współczucia.

Bose nogi przy bezpośrednim dotknięciu orczyka doskonale padawały kierunek. Skręty wychodziły płynniej niż w pantoflach. Wylądowałam na lotnisku, jak przystało na starego pilota — na trzy punkty.

— Bardzo dobrze — zechciał pochwalić zawsze powściągliwy szef pilotażu. — Drugi lot jest niepotrzebny. Proszę wziąć kurs na Częstochowę. Pierwszym samolotem poleci pilot Kubicki, ja mu będę nawigował — drugim pani z nawigatorem Łabęckim.

— Niech mi pan odda drewniaki, bo już chyba wyschły podeszwy. Boso nie polecę na Jasną Górę.

— Zabiorę je swoim samolotem i oddam na lotnisku w Częstochowie, żeby pani mogła pójść do miasta.

Zła na wszystkich, którzy wymyślili jakieś tam rozkazy i dyscypliny, wystartowałam za samolotem Kubickiego. I chociaż rozkaz zabraniał surowo trzymać się bliskiej odległości od sąsiedniego samolotu, nieznacznie zwiększałam szybkość, by dyskretnie trzymać się w pobliżu ogona mego poprzednika.

W jakie dziesięć minut po starcie, łagodny wietrzyk, towarzyszący nam z lotniska Ligotki, zaczął przybierać na sile. Gdy przelatywaliśmy nad olbrzymimi połaciami lasów, ciskał naszymi samolotami, jak łupinką, raz rzucając na las, by znów wydmuchnąć je w górę. Trzymałam z całych sił ster, który wyrywały mi z ręki gwałtowne porywy wiatru. Uspokoił się dopiero, gdy las się skończył. Na spotkanie wychodziło miasto Lubliniec, skąd biegły prosto tory kolejowe aż do podnóża wylaniającego się z dala klasztoru Jasnej Góry. Widok ten był wspaniały — klasztor zdawał się unosić w powietrzu nad miastem i polami. Jak urzeczona, wpatrywałam się w to zjawisko, gdy głos awiofonu przywrócił mnie do rzeczywistości.

— Skręcić 15 stopni w prawo. Kubicki już „siedzi" na lotnisku.

Kiwnęłam z wdzięczności nawigatorowi głową. Zapatrzona w Jasną Górę, straciłam z oczu pierwszy samolot. Za to nawigator czuwał. Wypatruje lotnisko i wreszcie widzę w częściowym obramowaniu lasu nieduży szmat ziemi z podejrzanymi czarnymi plamami. Czyniły złudzenie jej po bombach. Tam właśnie wśród tych lei usiadł Kubicki. Czyżby to miało być lotnisko? A może Kubicki przymusowo lądował? Zataczam wraz nad lasem, wypatrując jakichś znaków. Żadnego budynku, nawet zwyczajnego koła wyrytego w ziemi dla orientacji pilota nie ma. A z ziemi już szef macha ręką, dając znaki do lądowania.

Wzdrygnęłam się. Jak tu lądować w takich dziurach? Z duszą na ramieniu podchodzę wreszcie do lądowania w obawie połamania podwozia. Już dotknęłam podwoziem ziemi, gdy w oczy rzuca mi się czarna plama — podrywam maszynę jeszcze raz i czynię ruch, jakbym przeskakiwała hramkę, by już bez cudów usiąść. Teraz dopiero widzę, że te czarne plamy, to świeże ślady ziemi po wyrównaniu terenu.

Uspokojony motor zeskakuję na ziemię.

— Proszę o drewniaki.

Zaczęło się szukanie. Drewniaków ani w jednym, ani w drugim samolocie nie było.

— Musi pani iść boso na Jasną Górę, jak przystało na gorliwą pątniczkę — uśmiechnął się szef na mój groteskowy widok groźnej pilotki w kombinezonie i okularach, a... bosej.

Program przewidywał dwugodzinny pobyt w mieście. Nie chciałam pozbywać się przyjemności zwiedzenia Częstochowy i mudzić się w samolocie oczekiwaniem kolegów.

— Musi mi pan teraz oddać swoje pantofle! — zwróciłam się do sprawcy mojego utrapienia.

— Proszę. Użyczę swoich, a przez ten czas przypatrzę się waszym samolotom — zaofiarował się jeden z wielu przygodnych widzów, którzy na widok lądujących samolotów, znaleźli się na lotnisku.

Nie pogardziłam dużymi męskimi pantoflami i w przeciągu dwudziestu minut znaleźli śmy się przygodnym autem w mieście. Gdy przed ósmą wieczorem wracaliśmy na lotnisko, towarzyszył nam ulewny deszcz. Strop nieba zwisał nisko nad ziemią, nie wróżąc nic dobrego. Spospieszałam na myśl o powrocie.

Ale letni deszcz nie jest groźny. Zaledwie się przejaśniło, szef pilotażu osobiście zapuścił silniki, po czym wyleciał sprawdzić teren, aby zbadać możliwość lotu. Czekaliśmy na wynik niespokojnie.

— Lecimy — oświadczył krótko, gdy wylądował. — Dla odmiany pilot Kubicki poleci drugim samolotem z nawigatorem Łabęckim, a ja z pilotką.

— A jeżeli wpadniemy w burzę? — ośmieliłam się wyrazić swe przeczucie.

— Dobry pilot potrafi jej zawczasu zejść z drogi — pocieszył mnie szef.

Z westchnieniem zajęłam swe miejsce, zapinając pas i sprawdzając stery.

Zdradliwe promienie słońca rychło przykryły nisko przewalające się ciemna chmur. Już w dziesięć minut po starcie ściemniło się i z głuchym pomrukiem dalekiego grzmotu spadła na nas ulewa. Lasy aż skrzyły się od gęstych oślepiających zygzaków błyskawic. Huk grzmotu na wysokości stupięćdziesięciu metrów głuszył warkot motoru. W czarnej czeluści powietrza, wstrząsanego rykami gniewnych piorunów, poczułam się fatalnie. Ogarnął mnie zwyczajny, zwierzęcy strach. Gdyby nie szef — wyłodowałabym natychmiast. Popatrzyłam dyskretnie w drugą kabinę na szefa. Na jego marsowej twarzy nie dostrzegłam śladu lęku. To mi dodało otuchy. Otrząsnęłam się, już całkiem znacznej reagując na łoskot bijących wokoło piorunów, obejmujących samolot zimnym uściskiem ognia. Całą uwagę skierowałam na stery szarpane wichurą. Wreszcie, gdy zasnuty mgłą deszczu horyzont rozdarł się na dwoje pod wpływem promieni zachodzącego słońca — obejrzałam się za samolotem kolegi Kubickiego.

Nie pozostało po nim śladu, choć wypatrywałam go przy zwiększającym się polu widzenia.

Zapadł zmierzch. Obliczyłam, że do Ligotki powinnam dolecieć za 15 minut. A Kubicki, chcąc pewnie zrobić niespodziankę, siedzi już sobie na lotnisku — rozmyślałam beztrosko.

Wieczorne cienie kładły się na obszerne lotnisko cywilnej szkoły lotniczej w Ligotce, kiedy dotknęłam kołami podwozia ziemi. Napięte podczas trudnych warunków atmosferycznych nerwy, z chwilą dotknięcia ziemi odmówiły posłuszeństwa.

— Przecenia pan siły swoich uczniów. W takich warunkach atmosferycznych bardzo łatwo o wypadek — rzuciłam jak wyzwanie w twarz szefa, wysiakując z kabiny.

— Jestem starym instruktorem-psychologiem. Wiem, czego od ucznia wymagać. Po tym dzisiejszym egzaminie mogę być o panią spokojny.

Usłyszawszy warkot motoru, mechanicy ze szkoły przybiegli na start.

— Gdzie Kubicki z maszyną? — było ich pierwsze pytanie.

Szef zafrasował się. Na chwilę zwiesił głowę na piersi. Tak. Noc nadchodziła, a samolotu nie mają oświetlenia w kabinie.

— Kubicki musiał zboczyć z trasy przy omijania burzy i zabłądził. Sądzę, że wylądował przed nadejściem nocy. Nie mogę tego jednak twierdzić na pewno. A może jeszcze nie wylądował i spodziewa się odszukać Ligotkę — musimy mu w miarę naszych środków przyjść z pomocą. Wszyscy rzucamy się do siana w polu. Znosimy je w małe stogi i podpalamy na lotnisku. Jeżeli Kubicki wypatruje lotniska, odnajdzie Ligotkę.

Zmrok wieczoru rozświetliły buchające na lotnisku ognie. Co jakiś czas zapalano dwa stogi. A że wieść o wypadku rozeszła się po Ligotce lotem błyskawicy, na starcie zebrał się tłum ludzi, spragnionych dalszych wieści o zaginionym lotniku. Minęła godzina dziesiąta, jedenasta — samolot nie nadleciał.

*

Pilot Kubicki po wystartowaniu z lotniska częstochowskiego, wziął dobry kurs na Ligotkę. Początkowo trzymał się blisko sąsiedniego samolotu, ale ambicja nie pozwalała mu się trzymać ogona koleżanki. Skręcił o 5 stopni w lewo, lecąc równolegle do prowadzącego samolotu. W chwili jednak gdy przewaliła się nad nim burza i zasłoniła mu pole widzenia, nie mógł już odnaleźć samolotu koleżanki. Po kilkunastu minutach zaczął przemyśliwać, czy busola nie zawiodła. Zwłaszcza, że raz tak blisko niego uderzył piorun, aż busola z przerażenia zadrgała wszystkimi kreskami rzęs.

Skierował samolot o 5 stopni w lewo, wypatrując znajomych znaków orientacyjnych terenu. Gdzie się podziały tory, prowadzące z Częstochowy do Lublińca? Gdzież wreszcie ten Lubliniec?

— Jest! — aż krzyknął z uciechy na widok wyłaniającego się z mgły i deszczu miasta. Ale dziwnie obca jego sylwetka wytrąciła go z równowagi.

— Gdzie jesteśmy? — zwraca się do nawigatora, wskazując miasto.

Nawigator wzruszył ramionami.

Pilot już się nie łudził. Zabłądził. Po 45 minutach lotu powinien się znajdować na lotnisku w Ligotce. A tu na obce tereny zmierzch kładł swe niedźwiedzie łapy, zakrywając zieminę przed jego oczyma. W umyśle pilota powstał zamęt myśli: czy lądować byle gdzie, póki jeszcze widać kontury lasów i pól, czy też zaryzykować i szukać lotniska w mroku. Powinno być niedaleko.

Nawigator, zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa zbyt późnego lądowania, nama wiał pilota, by wylądował póki widzi ziemię.

— O, dają znaki — krzyknął Kubicki, dostrzegając z oddali buchający z ziemi płomień ogniska. Podrywa przygotowany już do lądowania samolot i kieruje się na zbawczy płomień, który jak święty znicz rozświetla mroki wieczoru, wskazując zabłąkanemu pilotowi upragnioną drogę.

Nawigator zamienił się cały w zmysł wzroku. Gdy już był w pobliżu zbawczego ogniska, okazało się ono beczką smoły wśród zabudowań wiejskich. Obok beczki uwijały się w pląsach dzieci, ani przeczuwając ile szkody wyrządziły nieznanemu pilotowi tą dla zabawy podpaloną beczką smoły.

Rozczarowany Kubicki, podrywa maszynę do góry przed czerniejącym w pobliżu dachem.

Nowy słup ognia dodaje otuchy znękanemu pilotowi, który przez tę beczkę smoły straci ostatnią szansę lądowania w możliwych warunkach.

Słup ognia okazał się ogniskiem, rozpalonym przez chłopców na leśnej polance, zamkniętej czworobokiem lasu.

— Jestem zgubiony — szepnął do siebie pilot.

— O tam może to na prawdę już Ligotka— wskazał ręką nawigator kilka rozniecionych ognisk w odległości może dwudziestu kilometrów.

Ale nerwy pilota były już tak wyczerpane, że nie zwrócił uwagi na ten szczegół. A może to znowu jaka smoła, albo pasterskie ognisko. Upatrywszy słabo znaczącą się w mroku polanę, wolną z jednej strony od ściany lasu, zamknął gaz i zaczął na oślep schodzić do lądowania.

W ciszy słabo pracującego na minimalnych obrotach silnika rozległ się trzask łamanego drzewa. Samolot uczynił nagły zwrot, staczając się w czarną przepaść lasu. Przytomny pilot zamknął kontakt iskrownikow, by podczas uderzenia nie spowodować pożaru. W drobnych ułamkach sekund pilot i nawigator zdołali polecić swe dusze niebu, oczekując końca zgoła już nie ziemskimi zmysłami.

Dziwny szelest wprawił w drżenie zdrętwiałe z wrażenia członki Kubickiego. Z niesłychanym trudem przesunął dłoń lewej ręki do prawej i nacisnął skórę. Odczuł zwyczajny ludzki, fizyczny ból... Nawigator, który podczas upadku zamknął oczy, bynajmniej nie ze strachu, a jedynie by, łatwiej przywołać obraz swych najdroższych istot, pozostałych bez jego opieki na tym padole łez — otwiera w końcu oczy i ku swemu niezmiernemu zdumieniu spostrzega z przodu wystającą głowę pilota, zupełnie w takiej samej pozycji, jak za życia...

— Czyż byśmy z samolotem wlecieli do nieba? — medytuje głośno.

— Jeszcze nas tam nie chcą — doszła jego świadomości odpowiedź

— Żyjesz?

— A ty?

— Żyję!

Las dyskretnym okiem patrzył na skrzydlatych przybyszów, z trudem łamiących swe wzruszenia na myśl o cudownym ocaleniu. Patrzył pobłażliwie, jak z dziwacznego pudła zawieszonego na jego ramionach, ostrożnie wydostało się dwóch ludzi i — jakby się nie widzieli długi czas — padło sobie w objęcia... Las nie mógł tego zrozumieć i gniewnie zaszumiał gałęziami. To ich otrzeźwiło.

— Lepiej nie można było wylądować w biały dzień, jak teraz poomacku na las — głos nawigatora miał już normalne brzmienie. Co z sobą zrobimy?

— Za wszelką cenę trzeba dać znać jak najprędzej do Ligotki i uspokoić wszystkich. Ty pozostań przy maszynie, a ja pójdę szosą tak długo, aż spotkam osiedla ludzkie i zasięgnę informacji.

Szczęście, że usiedli na skraju lasu, pięć metrów od drogi, to też Kubicki szybkim krokiem ruszył nocą w nieznaną przestrzeń.

*

Na lotnisku w Ligotce zbliżała się północ, gdy szef dał znak, by zaprzestano palenia siana

— Kubickiemu starczyło benzyny najwyżej do jedenastej. Łudzić się o północy już nie możemy. Dziękuję wszystkim za pomoc w znoszeniu siana na lotnisko...

— Telefon do szefa! — rozdarł ciszę nocy głos nadbiegającego gońca.

W tłumie zawrzało! Ktoś chyba zawiadamia o wypadku.

Szef z chyżością, o którą nikt by go nie posądził, biegł do gmachu szkoły. Trzęsącymi się dłońmi ujął słuchawkę. Na jego zmartwiałej twarzy, w miarę otrzymywanych wiadomości, występował rumieniec.

— Obydwaj żywi? Cali? — pytał zmienionym głosem. — Ile nam przysporzyliście zmartwień! Pocoście się odłączyli od nas w drodze? Co? Usiedliście na lesie? A samolot w jakim stanie?

— Silnik i kadłub nie naruszony. Ziełimy na ziemię po drzewach, jak małpy i w te pędy pobiegłem do telefonu, by was uspokoić. Znajdujemy się w Ozimkach, o 35 klm. od Ligotki.

— Dobrze. Proszę czekać. Przyjedziemy przed południem i zabierzemy was z maszyną. Do widzenia.

Zaledwie świt zaróżowił niebo, mechanicy z Ligotki wyjechali autem ciężarowym we wskazanym telefonicznie kierunku. Widoczna z daleka gromada gapiów, wypatrujących czegoś na drzewach, wskazała drogę.

— Aha, to tu.

Jakieś trzy metry od szosy samolot zwisał na pogiętych drzewach lasu. Pilot Kubicki, zajęty rąbaniem drzew przy pomocy okolicznych wieśniaków śpieszy się, by jak najprędzej wyciąć pas lasu na szerokość podwozia i przyciągnąć samolot do drogi. Nawigator sekunduje mu dzielnie w pracy. Na widok znajomego auta, rzucają piły i siekiery, śpiesząc na spotkanie. Sypią się słowa nagany szefa. Po co było czekać aż się ściemni. Lądowanie w nocy bez przyrządów oświetleniowych — to grób.

— Macie więcej szczęścia niż rozumu — burczy szef z marsową miną, ale w głębi duszy taje z radości, że widzi pilotów zdrowych i całych.

— Czy busola wam nawaliła, jeście zeszli z kierunku? Dlaczegoście nie wylądowali natychmiast, gdyście się zorientowali, że błądzicie? — sypią się pytania mechaników.

— Byliśmy pewni, że znajdujemy się blisko Ligotki. Zwiodła nas płonąca beczka smoły. Dlatego złapała nas noc.

— To była lekkomyślność. Zasłużyliście na porządną naganę. Ale daruję wam, boście się dość najedli strachu na myśl, że święty Piotr czeka już na was z pobrzękującymi kluczami.

SŁOŃCE I WODA

Lato to dobra rzecz. Zwłaszcza na wakacjach, albo jak jest niedziela. W lecie, jak powszechnie wiadomo, słońce wchodzi w znak Wodnika. Na skutek tej konstelacji woda nabiera szczególnych właściwości, tak, że w tym okresie z powodzeniem można mówić o przyciąganiu wodnym, w odróżnieniu od obowiązującego w innych porach roku przyciągania ziemskiego.

Woda służy do rozmaitych celów. W lecie specjalnej wagi nabiera moczenie. Naogół moczy się śledzie i bieliznę do prania. Począwszy od maja moczy się nogi zanurzając się następnie coraz głębiej, tak że w końcu całe ciało znajduje się w wodzie, przytem największe nasilenie tego pożytecznego zajęcia notuje się w lipcu i sierpniu.

Po wymoczeniu ciało rozkłada się i suszy na słońcu, sposób postępowania jest przytem taki sam, jak przy lnianym płótnie: wyjąć z wody, nie wyżymać, strzepnąć, rozciągnąć dokładnie. Różnica zachodzi tylko ta, że płótno kładzie się na słońcu, żeby zbielało, a człowieka żeby zciemniał.

FOTO A. JARACZEWSKI

Marjore Kinnan Rawlings

Rocznik

Przekład autoryzowany Adama Galisa

20)

— Dziękuję panu! — powiedział.

— Grzecznego ma pan synka, panie Baxter — odezwał się Boyles życzliwie.

— On już dobrze wie, kiedy mu się ta grzeczność opłaci. Wie pan, straciliśmy tyle młodych, że może przesadnie wiele spodziewamy się po naszym jedynaku.

Jody zaplanął w duszy wszystkimi cnotami charakteru. Pragnął być dobrym i szlachetnym. Zbliżył się do kantorka kupca, by otrzymać z jego ręki zasłużoną nagrodę za dobroć. Ruch przy drzwiach zwrócił jego uwagę w tym kierunku. W drzwiach stanęła siostrzenica Boylesa, Eulalia, przygldając mu się w zagapieniu. Zalała go nagle nienawiść. Nienawidził jej dlatego, że była powodem uszczypliwości i docinków Fennyego. Nienawidził jej włosów, związanych w sztywnych kosmykach, podobnych do świńskich ogonków, nieznośnej jej pięgów obfitszych od jego własnych. Nie mógł patrzeć na zgrabki Eulalii, drobne jak zgrabki wiewiórki. Nienawidził jej rąk, nóg i każdej kosteczki w jej słuchym ciele. Przebiegł szybko obok dziewczynki i wyciągnął mały kartofel z worka, zamierzając się na nią. Eulalia patrzyła na Jodyego jadowitym spojrzeniem. Powoli wysunęła ostry języczek i zagrała palcami na nosie: ele, mele dudki, jak gdyby chcąc okazać, że coś uraziło jej powonienie. Rzuciła w nią kartoflem. Uciekła z okrzykiem bólu.

— Co to takiego znowu? — zawołał Penny.

Boyles zbliżył się do Jodyego, naburmuszony i zły.

Penny powiedział surowo: — Wynoś mi się w tej chwili! Panie Boyles, chłopak nie wart jest harmonijki.

Jody wyszedł z chłodu sklepowego na upalny dzień. Był srodze upokorzony. A jednak gdyby miał uczynić to samo jeszcze raz, uczyniłby napewno, używając do tego celu jeszcze większego kartofla. Penny po zakończeniu interesu w sklepie, wyszedł przed dom.

— Alem się najadł wstydu przez ciebie — powiedział. Zaczynam myśleć, że może twoja matka ma rację, kiedy powiada, że nie powinienem cię puszczać do Forresterów.

Jody grzebał nogą w piasku.

— Nic mnie to nie obchodzi. Nienawidzę jej!

— Nie wiem doprawdy co mam na to powiedzieć. Jakżeś ty mógł tak zrobić?

— Nienawidzę. Przedrzeźniała mnie.

Wstrętna jest!

— Ależ synku, nie można iść poprzez życie, rzucając kartoflami w każdą napotkaną po drodze brzydką kobietę.

Jody, daleki od skruchy splunął w piasek.

— A więc tak się rzeczy mają... — powiedział Penny. — Wobec tego zobaczymy, co na to powie babcia Hutte.

— Tatusiu, nie mów jej o tym. Błagam cię, nie powtarzaj tego!

Penny milczał złowieszczo.

— Już będę grzeczny, tatku!

— Hm, nie wiem czy babcia będzie teraz chciała przyjąć od ciebie skórę jelenią.

— Zostaw mi ją, tato. Jeżeli nie opowiesz babci, to przyrzekam, że nigdy niczym nie będę ciskał w kogokolwiek.

— No, dobrze. Czas na nas. Żeby mi się to już nigdy nie powtórzyło.

Weź sobie twoją skórę.

Jodyemu poprawił się humor. Groźna chmura przeminęła. Posuli drogą północną, ciągnącą się równolegle z biegiem rzeki. Wzdłuż ulicy kwitły magnolie. Za nimi znajdowała się aleja oleandrów, które całe stały w kwiatach. Przez trawnik polatywały płazki. Oleandry wiodły wprost do bramy, z której olbrzymy strom rozciągał się płot z białe pomalowanych sztachet. Sad babci Hutte był jednym barwnym kobiercem kwiatów, rzuconych na całą ogrodzoną przestrzeń. W głębi stał mały, biały domek, wyglądający tak jakby go przytwierdzono do ziemi za pomocą bujnych powojów. Wszystko tu było blaskie i drogie sercu. Jody spieszył ścieżką, wiodącą przez ogród wśród grządek indyga i pierzastej lawendy.

— Babciu!... — krzyknął.

Tupot lekkich kroków rozległ się w domku. Babcia Hutte stanęła we drzwiach.

— Jody, szczimo jedna!

Podbiegł do babci. Penny zawołał:

— Ostrożnie chłopcze, nie przewróć babci!

Babcia Hutte była maleńkiej postaci. Wyprostowała się w całej okazałości. Jody tak mocno tulił ją, aż zaczęła piszczeć.

— Ach, ty pieklelny niedźwiadku!

I roześmiała się, odchylił nieco głowę, by śmiać się z nią razem i spoglądać na jej twarz, różową i pomarszczoną. Oczy miała czarne, jak jagody. Otwierały się i zamykały gdy się śmiała; sieć zmarszczek falowała na skroniach, a pierś babci drżała jak wystraszona przepiórka. Jody obwąchiwał babcię jak szczeniak.

— Hm, dobrze pachniesz, babciu — powiedział.

— Trudno by ci było tak o nas powiedzieć — rzekł Penny — Tak, babciu, jesteśmy parą brudnych włóczęgów.

— Ale to przecież jest zapach polowania — zaprotestował Jody — zapach skór jelenich, liście i tak dalej. No i zapach potu!

— Bardzo wytworna jest ta mieszanina zapachu — oświadczyła babcia Hutte i — doprawdy, stąskniłam się już za tym.

Penny odetchnął się usprawiedliwiająco:

— W każdym razie jest tu coś, co nas wytłumaczy. Świeża dziczyzna.

— No i skóra jelenia — dodał Jody — na dywan dla ciebie, babciu.

To ją zranilem tego jelenia.

Babcia podniosła ręce do góry z wyrazem zachwytu. Dary zyskały nagle w ich oczach olbrzymią wartość. Jedyemu zdawało się, że mógłby teraz w pojedynkę, bez niczyjej pomocy, przyprowadzić panterę w darze babci Hutte w podzięce za jej pochwałę. Babcia dotknęła mięsa i skóry.

— Proszę sobie nie zniszczyć drobnych rączek — powiedział dworni Penny.

Babcia Hutte wydobywała z męczyzyn wytworność, tak jak słońce spija wodę. Jej wdzięk czarował mężczyzn, młodych i starszych. Młodzi opuszczali ją podniesieni na duchu, z uczuciem wzmożonej odwagi. Starszych znlewalały uroczo srebrne kędziory. Było w niej coś wiecznie kobiecego. Odczuwały to męskie serca. Jej urok wywoływał również zawiść kobiet. Ma Baxter wróciła do lasu po czterotelniej gościnie u babci Hutte z zatwardziałym uczuciem niechęci do babci. Starsza pani płaciła jej zresztą tą samą monetą.

Penny powiedział: — pozwolisz, że zaniosę mięso do kuchni. A skórę przybiję do ściany komórki. Niech wyschnie.

Jody zawołał: — Fluff, pójdź tu!

Biały psiak przybiegł pędem. Skoczył na Jodyego jak kula i dobierał się do twarzy chłopca, by polizać.

Babcia Hutte odezwała się: — Tak się psisko cieszy kiedy was widzi, jakbyście byli członkami jego rodziny.

Fluff spoczął starą fulię, siedzącą spokojnie na zadnich łapach. Wyprężył się i powoli zbliżył do niej. Julia siedziała bez ruchu, zwieszywszy długie słuchy.

Babcia powiedziała: — Lubię tego psa. Wygląda zupełnie jak moja ciotka Lucy.

Penny poszedł na tyły domu z mięsem i skórą jelenia. Miłe tu były widziani wszyscy trzej: ojciec, syn i pies, poranieny w walkach. Jody czuł się tu bardziej u siebie niż we własnym domu, pod opieką rodzonej matki.

— Jestem pewny — zwrócił się do babci — że nie cieszyłabyś się z mojej obecności zbytnio, gdybyś mnie tu miała na codzień.

(c. d. n.)

SUKIENKA W KWIATY

Najmilsza na lato jest zawsze sukienka w kwiaty, grająca w słońcu wszystkimi barwami, przy tym niekłopotliwa do noszenia, gdyż nie znać na niej każdej plamki tak jak na tkaninach jednobarwnych.

Suknię w kwiaty możemy nosić właściwie od rana do wieczora, zarówno do pracy jak i na bardziej uroczyste okazje np. do teatru czy na przyjęcie imieninowe. Pamiętajmy tylko o jednym: że kobiety niskiego wzrostu i pełniejszych kształtów powinny unikać dużego deseniu, np. olbrzymich maków czy róż rozsianych zrzadka na jednolitym tle, bowiem ten rodzaj sukien wymaga wzrostu i wysokiej sylwetki. Zresztą jedwabie o dużych, wyrazistych deseniach szybciej się opatrują i w ogóle nadają się raczej na długie suknie wieczorowe.

Cechy charakterystyczne lekkich, świeżych sukienek w stylu bieżącym to: sutomarszczona na przodzie lub mocno rozkloszowana spódniczka (naturalnie zakrywająca kolana), wycięcie przy szyi najczęściej „trapezowe", krój stanika kimonowy. Rękawy właściwie nie istnieją — zamię ledwie zarysowania opadające miękko kimono lub szeroki, skrzydlaty wolant — nadaje to całej sylwetce lekki, powiewny wygląd. Zamiast paska modne są w tym roku szerokie szarfy z tego samego materiału lub z jedwabiu w jednym z kolorów deseniu, wiązane na boku lub przodzie w duży węzeł z opadającymi końcami; sukienkę bez paska wszywane są najczęściej w wysoki gorsecik.

Fek.

1

Na przedramieniu sierż. Land widoczna jest duża i głęboka blizna. Cienko powlekająca kość, pozbawiona podbudowy tkanek.

2

Chirurg interweniuje: nacina brzegi blizny i usuwa tkankę bliznowatą.

3

Ścięgna są mienarusowane. Wkrótce znajdą się w ochronnej „pokrywie" tkanki tłuszczowej, wyciętej z brzucha.

10

Przedramię sierżanta Land z otwartą raną jest ułożone na brzuchu tuż przy zdjętym płacie skóry. Na ranie brzuchu chirurg już nasyp skórę z uda.

11

Płat skóry z brzucha jeszcze przyłożony do rany przedramienia. Część tkanki tłuszczowej pozostał chirurg pod ścięgna.

12

Prawy brzeg płatu skóry brzucha dopasowywany jest do kształtu rany przedramienia. Nożyczki nadają przeszczepionej skórze odpowiedni kształt. Z lewej strony przeszczepiany płat skóry nie trzeci żywej łączności z brzuchem.

4

Z uda zostaje zdjęta cienziutka warstewka skóry. Skóra ta pokryje ranę na brzuchu po wycięciu z niej płata skóry.

5

Specjalnym instrumentem chirurg ścina jednakowej grubości cieniutką warstewkę skóry.

6

„Płatek" skóry został z uda zdjęty. Nie będzie kłopotu z naprawieniem tego uszkodzenia: skóra na udzie zregeneruje się sama.

13

Po przystyku prawego brzegu przeszczepianej skóry do przedramienia — ramię zostaje unieruchomione na brzuchu. Płat skóry wszczepia się w ranę przedramienia.

14

Minęło dziewiętnaście dni od zabiegu chirurga. Szwy zostają zdjęte, ale płat skóry nadal zachowuje z lewej strony łączność ze swymi macierzystymi tkankami brzucha.

15

Teraz zaczyna się druga z kolei operacja: przeszczepiony płat skóry zostaje z z lewej strony odcięty od brzucha. Powstają stąd rankę na brzuchu chirurg reszywa.

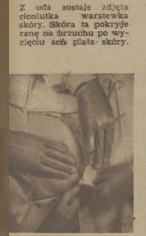

7

Na brzuchu chirurg robi owalne nacięcie. Płat skóry, zaznaczony linią tego nacięcia, zostanie zdjęty z brzucha wraz z tkanką tłuszczową i częściowo tłuszczową.

8

Chirurg zdejmuje płat skóry z brzucha. Część tkanki tłuszczowej pozostawia na miejscu, dla przykrycia mięśni.

9

Na pozbawionej skóry części brzucha szczepi chirurg cienką warstewkę, zdjętą uprzednio z uda.

16

Ramię jest teraz wolne — stracło połączenie z brzuchem. Chirurg jest znowu krojcym: dopasowuje brzegi przeszczepionej skóry do brzegów rany.

17

Płat skóry został ostatecznie dopasowany do kształtu rany przedramienia. Chirurg, jak zawsze, przyszywa „szczep" z tewej strony.

18

Operacja skończona. Teraz wydaje się, że przedramię jest spuchnięte. Lecz w miarę upływu czasu, opuchlizna ustąpi, a ramię sierż. Land wróci do normalnego kształtu i estetycznego wyglądu.

CHIRURG SZCZEPI SKÓRĘ

W szpitalach całego świata do dziś przebywają żołnierze — uczestnicy ostatniej wojny. Leczą swe ciężkie rany i uszkodzenia ciała. Niektórzy przechodzą długi proces skomplikowanych operacji chirurgicznych, operacji, które mają przywrócić ich zniszczonym ranami czookom ciała normalny wygląd i zdolność do wykonywania normalnych czynności życiowych.

Architekt, murarz, stolarz i malarz stanęli do pracy nad odbudową zniszczonych budynków. Chirurg — odbudowuje uszkodzone ciała uczestników i ofiar wojny. Na ich usługi stoje wiedza lekarska, dzięki nowym wynalazkom nieustannie zwiększająca skuteczność swych wysiłków. Dla ich dobra najwybitniejsi chirurdzy dają swe wieloletnie doświadczenie, umiejętność i wspaniałą zręczność swych rąk.

Do dysporycji ofiar wojny stanęli też artyści chirurgii, jakimi są specjaliści od operacji plastycznych, zwanych inaczej kosmetycznymi lub estetycznymi.

Oczywiście, nie wszystkie doznane uszkodzenia ciała dadzą się naprawić kompletnie. Nie zawsze chirurg zdolny jest przywrócić pacjentowi normę wyglądu i sprawności życiowej. Ale — postęp wiedzy lekarskiej i umiejętności chirurgicznych jest nieustanny. Toteż dziś bardzo wielu byłych żołnierzy ma szanse dzięki zabiegom chirurga odzyskać pełną niemal użyteczność zawodową i fizyczną sprawność, gdy przed kilkunastoma jeszcze laty byliby skazani w wyniku doznanych ran na kalectwo czy ciężkie inwalidztwo. Wiele też uszpeceń, wynikających z uszkodzeń ciała, likwidzje ręka chirurga.

Zręczność i pewność rąk i palców chirurga, szybkość, z jaką stal jego narzędzi tnie skórę, drąży w tkankach podskórnych, rozszczepia i dłutuje kości, oddziela włókna nerwowe i naczynia krwionośne, budzą podziw i niemal zazdrość dla tej wspaniałej umiejętności „ludzi w bieli", która granicy z prawdziwą sztuką.

Na ilustracjach naszych uwidocznimy kilka operacji chirurgicznych, stanowiących ostatnie osiągnięcia, niejako ostatni krzyk sztuki chirurgicznej, pozostającej na usługach ofiar wojny. Stanowią one skomplikowany i długi proces zabiegów leczniczych.

Żołnierz ranny na polu walki otrzymuje pierwszą pomoc chirurga w postaci tymczasowego opatrunku. Zadaniem chirurga jest wówczas tylko oczyścić ranę i zabezpieczyć ją przed infekcją. Jak się okazało, tak wykonana pierwsza pomoc pozwoliła ocalić życie 97 na 100 rannych żołnierzy amerykańskich. Jest to wynik, którym słusznie chlubi się polowa chirurgia amerykańska.

Gdy ranny żołnierz przybywa do szpitala na tyłach armii — chirurg dąży do zaskleplenia rany zwykłą blizną. Próby odbudowy zniszczonych tkanek ciała nie są jeszcze podejmowane. I dopiero gdy rana jest dostatecznie zaleczona, gdy pokryła się samorodną blizną, wówczas podejmuje chirurg nowe zadanie, rozpoczyna odbudowę zniszczonych tkanek.

Ta odbudowa wymaga najwyższej umiejętności i znakomitej techniki operatora. Chirurg w czasie tej pracy — pluje i dłutuje kości, jak stolarz; naprawia przewody i „kable" nerwów — jak elektrotechnik, przyszywa i przyszywa przeszczepiony na ranę płat skóry — jak krawiec. Operuje dziesiątkami skomplikowanych instrumentów, przypominającymi narzędzia precyzyjnych rękodzielników.

W czasie ostatniej wojny chirurgia poczyniła olbrzymie postępy i obecnie znajduje się na bardzo wysokim poziomie. Wręcz zdumiewające są rezultaty chirurgii plastycznej, jej nowe metody szczepienia skóry i naprawiania uszkodzonych przewodów nerwowych.

Przykład, wzięty z życia, ilustruje nam najwymowniej wielkie osiągnięcia chirurgów wojennych.

Żołnierz aliancki trafiony został odłamkami granatu w przedramię. Rana była głęboka, kość naruszona. Na polu bitwy założono mu pierwszy opatrunek i odesłano do szpitala polowego. Tu otrzymał przede wszystkim penicylinę, dla przeciwdziałania infekcji. Ranę oczyszczono. Po dziesięciu dniach rana się zamknęła.

Ramię urratowano wprawdzie od amputacji, lecz sierżant Land zapowiadał się na inwalidę: nerwy były zerwane, kość rozszczepiona, a na dużej przestrzeni widniała brzydka blizna. Chirurdzy postanowili naprawić uszkodzenia nerwów i kości, odbudować kompletnie zniszczone tkanki skóry i usunąć bliznę.

Jak się do tego zabrano i z jakim wynikiem — w dalszy dokładnie na naszych ilustracjach.

km

KSIĄŻKI

KSIĄŻKI W ZWIĄZKU RADZIECKIM

Związek Radziecki — to kraj o potężnym rozwoju czytelnictwa. Obecnie na terenie Z.S.R.R. istnieje 283.576 bibliotek z 491 milionami książek. Ponad sto tysięcy bibliotek świetlicowych obsługuje fabryki, zakłady przemysłowe, szkoły, Uniwersytety Robotnicze i Ludowe. Nie ma takiej fabryki, która by nie posiadała własnej biblioteki, nie ma kołchozu, któryby nie miał bogatego księgozbioru. Największa biblioteka radziecka — to słynna wszechzwiązkowa Biblioteka im. Lenina w Moskwie liczące 9 milionów tomów. Jest to jedna z największych bibliotek świata. Zainteresowanie społeczeństwa radzieckiego dla książki było zawsze żywe i serdeczne. Od chwili powstania Związku Radzieckiego ukazało się łącznie 10 miliardów książek radzieckich!

W zeszłym roku obchodził 25-lecie swego istnienia Wszechzwiązkowy Dom Książki („Wsesojuznaja Knižnaja Palata"). Jedną z zasadniczych jego funkcji jest zbieranie wszystkich wydawnictw drukowanych, oraz zaopatrzenie w nie największych bibliotek Związku Radzieckiego.

Wszystko, co się ukazało w druku w Związku Radzieckim, zostaje zarejestrowane w „Domu Książki". W ciągu 25 lat pracy „Domu Książki" zarejestrował on ponad 750.000 tytułów wydawnictw książkowych w 115 językach narodów Związku Radzieckiego.

Wojna nie przerwała pracy wydawnictw radzieckich. W roku 1944 moskiewskie wydawnictwo „Goszizdat" (Państwowe Wydawnictwo) rozszerzyło swą działalność, wydając 120 nowych książek o nakładzie ponad 5.000.000 egz. Trzeba pamiętać, iż miało to miejsce w trzecim roku wojny. W tym samym roku łączny nakład wydawnictw dla dzieci wynosił 4.700.000 egz. A wydawnictwo „Sowiecki Pisatel" („Literat Radziecki") wydało książki o ogólnym nakładzie 3.650.000 egz.

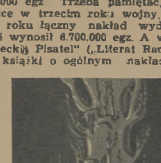

W ostatnich latach utwory Gorkiego wydane zostały w 67 językach, łącznym nakładem około 32.000.000 egz. Dzieła beletrystyki angielskiej i amerykańskiej wydane zostały nakładem przeszło 100.000.000 egz. Dickens osiągnął nakład 2.000.000 egz. w 15 językach narodów Związku Radzieckiego, Viktor Hugo — 4.000.000 egz. w 41 językach.

Utwory francuskich pisarzy ukazały się w nakładzie 4 mil. egz. W carskiej Rosji w 1913 r. wypadało przeciętnie na człowieka 0,7 książki. W Z.S.R.R. obecnie przypada 6,8 książki, t.zn. prawie 8,5 razy więcej niż przed rewolucją 1917 roku.

Ogniskiem literaturoznawstwa jest Instytut Książki im. Gorkiego. Instytut ten gromadzi materiały dotyczące książki radzieckiej oraz materiały o rozwoju kultury i bibliotek. Jest to jednocześnie Instytut literatury światowej.

W archiwum Instytutu znajdują się cenne rękopisy wielkich literatów i uczonych. Instytut wychowuje młode kadry naukowe radzieckich znawców literatury. Popularne odczyty wygłaszane przez współpracowników Instytutu cieszą się dużym powodzeniem.

Najciekawsze zbiory rzadkich książek posiada biblioteka im. Lenina w Moskwie.

W bibliotece tej przechowują się wydania, które ze względu na czas ukazania się stanowią wielką rzadkość i przedmiot zainteresowania nauki. Posiada ona przeszło 120.000 tomów tak zwanych „białych kruków". Specjalną wartość przedstawiają zbiór książek mandżurskich, literatura buddyjska, pełny zbiór pierwszych wydań dzieł wielkiego włoskiego humanisty Giordano Bruno — a wreszcie masywne inkunabuły — pierwsze książki drukowane za pomocą liter składanych.

Ze zbiorów rosyjskich najdawniejszym zabytkiem piśmiennictwa jest Ewangelia z roku 1092.

Ciekawe są dane dotyczące literatury polskiej. W ciągu ostatnich 25 lat wydano w Z.S.R.R. utwory Sienkiewicza w 857.000 egz., Reymonta — 270.000 egz., Orzeszkowej — 268.000 egz., Żeromskiego — 261.000 egz., Konopnickiej — 248.020 egz., Tetmajera 198.000 egz., Prusa 169.000 egz., Mickiewicza 81.000 egz., Tuwima — 43.000 egz.

Cyfry podane wyżej dotyczą tylko przekładów w języku rosyjskim. Powieść Wandy Wasilewskiej osiągnęły łączny nakład 5.269.000 egz. W roku bieżącym nakładem „Goszizdatu" ukazało się 10 tomów literatury polskiej w przekładzie rosyjskim o ogólnym nakładzie 255.000 egz (Mickiewicz, Słowacki, Żeromski, Orzeszkowa, Tuwim, Prus, Dąbrowska, Nałkowska).

Największą poczytnością cieszą się książki z dziedziny nauk socjalnych, historii, historii literatury. Znaczny popyt mają dzieła naukowe, literatura piękna zajmuje dopiero trzecie miejsce.

Przeciętna biblioteka fabryczna wypożycza dziennie od 800 do 2.000 tomów. Biblioteki kołchozów posiadają przeciętnie 100 — 150 czytelników dziennie (w okresie zimowym). W lecie cyfra ta spada gwałtownie do 30 — 60 osób. Praca w polu przeszkadza korzystaniu z książki.

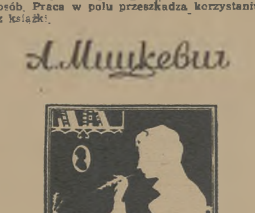

W Z.S.R.R. istnieje obecnie ponad 70.000 bibliotek szkolnych oraz ponad 6.000 bibliotek dla dzieci. Istnieje 130 bibliotek dla niewidomych. W samej Moskwie, stolicy Związku Radzieckiego, istnieje ponad tysiąc bibliotek. Dane te przemawiają same za siebie. Mówią one o tej wielkiej miłości, która otoczona jest książka w kraju naszego wielkiego sprzymierzeńca i sojusznika.

F. Jurjew.

Stanisław Wygodzki

SPOJRZENIE NA MAPĘ

A myślałem, że centrum świata
to Waszyngton, Londyn i Rzym,
że zatrzyma mnie jakaś la Plata,
wonna Floryda, Hellada lub Krym.

Że poszukam najbliższych linii
z metropolii do dziwnych miast,
z dna Timbuktu do włoskich pinii,
aż do Karmelu bliskiego gwiazd.

A myślałem, że starczy dłoni
wędrowanie spieszne na wschód,
aby odkryć gdzieś Mahagonny
nad topielą nieznanych wód.

A tymczasem ziemia mi pędzi,
i do oczu dochodzi wprost.
Centrum świata ma napis: Będzin,
widzę Przemszę, Zamek i most.

Lecz w tym miejscu[1] wpięta szpilka,
w mapę wbita, rani mój dom
i tych drzewek schylonych kilka,
które stoją na straży snom.

I tam brama spalona czeka,
pusty pokój i zwiędły kwiat
i płacz Córki biegnie daleko
z mojego miasta na cały świat.

[1] Orion

KOLEGOM

Was prowadziło przez wicher i mrozy,
was prowadziło przez Afryki piachy.
A mnie powiodło tylko w obozy —
Oświęcim, Oranienburg, Dachau.

I nie wiem, która droga ta lżejsza.
moja, czy wasza, towarzysze.
Wiem że wielka jest Azja Mniejsza,
ale Brzezinki nielatwo się pisze.

Lecz wiem, że nikt nie pragnął, gdzie
nocą stawiać, jak Jakub, drabin.
Ja do Polski — przez krematorium,
Wy do Polski trzymając karabin.

A w końcu nieważne to zgoła,
która mnie ziemia pochłonie.
Jednako wzywa i woła,
oczy nakrywa i dłonie.

A w końcu na jedno wychodzi,
gdzie spocznę i różnicy nie znam:
w zieleni kieleckiej, czy w Łodzi,
czy koło Weimaru lub Drezna.

Lecz gdyby wybierać w namyśle,
gdzie żyć mi, to wybrać mi trzeba
tę ziemię co blisko przy Wiśle,
a taka odległa od nieba.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

HIEROGLIFY LITERACKIE

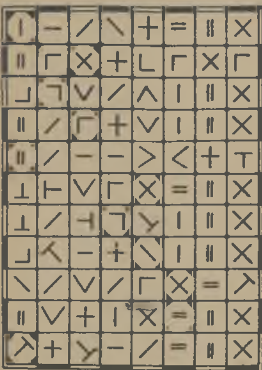

Poszczególne znaki zastąpić literami tak, aby można było odczytać poziomo 11 nazwisk znanych pisarzy polskich, a czytając z góry na dół po jednej literze z każdego nazwiska (w kratkach z czarnymi narożnikami) otrzymać nazwisko wielkiego powieściopisarza polskiego.

Uwaga. Jednakowe znaki odpowiadają jednakowym literom.

RZECZNE REBUSIKI

[illegible] rzek. Po odgadnięciu ich należy wybrać z każdej po jednej literze i utworzyć nazwę piątej rzeki.

■

Rozwiązanie powyższych zadań przesyłać należy najpóźniej do dnia 12 sierpnia b.r. pod adresem: Redakcja tygodnika „Świat Młodych", Warszawa ul. Grażyny 6, z dopiskiem „Rozrywki umysłowe".

Za trafne odpowiedzi przyznane zostaną nagrody książkowe.

Jednocześnie w numerze dzisiejszym ogłaszamy IV-ty konkurs wytrwałości, który polega na rozwiązaniu jak największej ilości zadań zamieszczonych w nr.nr. 22, 23, 24 i 25 „Świata Młodych", a dla zwycięzców przeznaczone są specjalne nagrody.

ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z Nr 16

KRZYŻÓWKA: Poziomo: bilon, zgoda, akordeon, ja, Ob, Ca, ST (Stanisław Trembecki), kto, Erie, atu, artel, resor, ar, je, beben, siano, ono, orka, Kim, JT (Julian Tuwim), ta (wspak), mi, Ae, uderzone, silza, [illegible]

Pionowo: bajka, hojna, sirakenci, la, od, bo, ul, oko, Elba, Ada, Nobel, notes, ej, re, zecer, Samos, Goa, elki, Ind, on, es, IAK, As, stocznia, Artur, Omega

SYLABÓWKA: Dardanele, ekwipaż, manowiec, ostrowidz, Karpaty, recenzent, Antarktyda, trefniś, Walenty (wspak), czynniki, zapadka, Nogat, albinizm, madrygał, łyko, Oksford, diuny, zwierzyniec, harakiri. — „DEMOKRATYCZNA MŁODZIEŻ CZYTA „Świat Młodych".

Za rozwiązanie zadań z nr. 16-go „Świata Młodych" nagrody otrzymują:

1. NARKIEWICZ Wacław — Kłodzko, ul. Łużycka 22 m. 1, — książkę A. Ransome „Jaskółczyn".
2. SAWICKI Ambroży — Warszawa, Aleja Niepodległości 246 m. 10, książkę A. Świrszczyńskiej „Arkona — gród Światowida".

UWAGA na Niemcy!

Medytacje Niemca o narodzie niemieckim

B. więzień obozów koncentracyjnych i autor książki „Państwo SS" (Der SS-staat) Eugen Kogon zamieścił na łamach tygodnika „Heute" (Nr. 36) nast. rozważania:

„Każdy wie, że procesy dotyczące obozów koncentracyjnych nie wywołują żadnego specjalnego wrażenia na narodzie niemieckim. Wcale nie mało ludzi nie interesuje się tymi sprawami, podobnie jak oskarżeni, którzy wchodzą do sali sądowej, paląc papierosy albo jak b. generał SS Pohl, który w Norymberdze śmiał się, gdy jako świadek opisywałem śmierć jednego z moich przyjaciół, albo jak Ilsa Koch „komendantka" z Buchenwaldu, wytwór korupcji i perwersji, która, gdy mowa o jej czynach, obgryzuje obojętnie paznokcie.

Przeważająca większość narodu niemieckiego nie zdradza żadnego zainteresowania dla brzemiennej na przyszłość kwestii winy i pokuty w przeszłości. W tym przełomowym okresie wydaje się rzeczą daleko ważniejszą, czy na kartki będzie 50 gramów mięsa mniej czy więcej, niż sposobność zaznajomienia się obecnie w obiektywnym przewodzie sądowym z rozmiarami nieszczęsnego losu, w jaki Niemcy zostali zaplątani.

Wiele istnieje przyczyn dla otępienia nawet ludzi dobrej woli w narodzie niemieckim. Jedną z nich jest masowość okropnych zgonów — tych, które się przeżywało i tych, o których teraz się dowiaduje. Wyobraźnia ludzka nie może dostatecznie objąć tysięcy a nawet milionów morderstw. Zaledwie rozum je rejestruje. Jeżeli my, żyjący świadkowie, tych straszliwych przeżyć i ich pierwszych dochodzeń ze strony ludzkiej sprawiedliwości nie dostrzeżemy, będzie to miało nieobliczalne konsekwencje dla przyszłych pokoleń.

Jeśli chcemy się naprawdę szczerze odmienić, to musimy znaleźć drogi i sposoby, aby na te niepojęte zbrodnie zwrócić uwagę serc i umysłów tych, na których opiera się cała nadzieja, jeśli chodzi o przyszłość Niemiec.

Kogon kończy swoje rozważania nast. inwokacją:

Zwróć, Niemcze, wzrok ku tym górom trupów i pomyśl bodaj na chwilę, że ten nędzny ochłap ciała i krwi to twój ojciec, twoje dziecko i twoja żona. Od nas, jedynie od nas zależy czy oderwiemy się stopniowo od przeszłości".

Sporadyczne głosy co szlachetniejszych jednostek — jakże zresztą nielicznych — w narodzie niemieckim, jak to z goryczą stwierdza sam autor powyższych refleksji, w niemieckiej dżungli zdziczenia, barbarzyństwa i okrucieństwa nie wywołują żadnego echa. Tylko pomruk zemsty idzie z głębi tej dżungli.

Nadworny rabuś Hitlera

W paryskim więzieniu śledczym oczekuje na rozprawę jeden z największych spekulantów hitlerowskich, Willy Bley, który byłby dzisiaj jednym z najbogatszych ludzi Europy, gdyby... Niemcy były zwycięzkie.

Bley osiedlił się w Paryżu już na parę lat przed wojną jako kierownik „międzynarodowego towarzystwa spedycyjnego — Schenker i Spółka". Jako hojny bon-vivant znany był w nocnych lokalach paryskich. Gdy wybuchła wojna i wojska niemieckie zajęły Paryż, Bley, który jeszcze w czasach pokoju wstąpił do partii hitlerowskiej — swoje przedsiębiorstwo przewozowe „przestawił" całkowicie na kierunek: Berlin. Po porozumieniu się z „ambasadorem" Hitlera w Paryżu, osławionym szpiegiem Abetzem, Bley zajął się wywozem cennych mebli i dzieł sztuki dla dygnitarzy hitlerowskich. Ta banda ludobójców i notorycznych zbrodniarzy lubiła otaczać się przepychem i upiększała swoje siedziby i rezydencje kradzionymi w całej Europie przedmiotami i sprzętami bezcennej nieraz wartości. Wozy meblowe i samochody ciężarowe firmy Schenker grasowały między innymi po całej Francji, wywożąc do Niemiec wszystko, co tylko można było ruszyć z miejsca. Co dla reichs- i gauleiterów nie przedstawiało większej wartości, sprzedawano odrazu niejako na pniu. Konto bankowe Bleya rosło z dnia na dzień. Często wyjeżdżał do Niemiec, zapraszany przez swoich mocodawców, którzy wyrażali mu podziękowanie za sprawnie przeprowadzoną akcję. Hitler przyjął Bleya kilkakrotnie w Berchtesgaden.

Po kapitulacji Trzeciej Rzeszy Bley zniszczył swoje legitymacje partyjne, i sądząc, że w milionowym mieście uda mu się najłatwiej zatrzeć po sobie ślady, pozostał w Paryżu, gdzie wśród kelnerów i dam z półświatka znany był jako „piękny Willy". Pewnego dnia władze francuskie znalazły wśród pozostawionych przez Niemców akt dokumenty, z których wynikało niedwuznacznie, jaką to rolę Bley odgrywał we Francji. Policja aresztowała go i skonfiskowała majątek złodzieja hitlerowskiego w kwocie 500 mil. franków.

Nazwy ulic źródłem natchnienia reakcji niemieckiej

Jakie nastroje i jakie tendencje panują w ministerstwach krajowych zachodnich Niemiec, tego charakterystyczny dowód podał jeden z dzienników berlińskich, przytaczając okólnik ministerstwa spraw wewnętrznych kraju północnoreńsko-westfalskiego (Nordrhein-Westfalen) w sprawie zmiany nazw ulic. W miastach niemieckich strefy brytyjskiej i amerykańskiej roi się jeszcze od nazw tych postaci „historycznych", których żadną miarą nie można pomieścić w ramach ideologii demokratycznej. Nazwy ulic, gmachów publicznych, szkół, teatrów itd. przypominają Niemcom na każdym kroku ich przeszłość, pisaną krwią i żelazem, i nazwy te podnoszą Niemców na duchu, że jednak nie wszystko się jeszcze skończyło, że nić z „pełną glorii przeszłością" nie została zerwana. Nazwiska Fryderyków, Bismarcków, Hindenburgów odczytywane są z tabliczek ulicznych z nabożnym westchnieniem i bałwochwalczym pokłonem, a jednocześnie z przysięgą: „Okażemy się godni was" (Wir werden uns euer würdig zeigen).

Pozostawianie tych nazw jest także jednocześnie wyrazem chytrego nastawienia władz niemieckich, aby nie czynić nic ponadto, co nakazuje wyraźnie litera rozporządzeń czy praw, wydanych przez Sojuszniczą Radę Kontrolną lub też poszczególne zarządy wojskowe okupacyjne. W ten sposób oczywiście społeczeństwu niemieckiemu demokratyzację ukazuje się jako poczynanie obce, narzucone, niezgodne z duchem narodu i wykonywane tylko pod presją bagnetów. Żaden z tzw. rządów krajowych w zachodnich Niemczech nie wykazuje rozmyślnie absolutnie żadnej inicjatywy, zmierzającej do wykorzenienia głęboko i szeroko rozrosłych pozostałości hitleryzmu.

Wspomniany na wstępie okólnik ministra reńsko-westfalskiego twierdzi, że w myśl interpretacji dyrektywy Rady Kontrolnej Nr. 30 z dn. 12.7. 1946 r. zmiana nazw ulic, noszących takie nazwiska, jak np. Moltke, Bismarck, Blucher, Hindenburg itp. nie jest bynajmniej konieczna.

Tak oto reakcja niemiecka, nie napotykając na sprzeciw ze strony anglosaskich władz okupacyjnych, podtrzymuje kult „wielkich wodzów" całkiem jawnie i demonstracyjnie. W tym stanie rzeczy nie jest już rzeczą dziwną, że w wielu miejscowościach strefy anglosaskiej pojawiają się tabliczki: Adolf-Hitlerstrasse.

W Niemczech odnaleziono [illegible] zmagazynowane w jednej z kopalń soli bezcenne dzieła sztuki, zrabowane w okupowanych krajach.

Upaństwowienie przemysłu we wschodnich Niemczech

Po przeprowadzeniu reformy rolnej, która zlikwidowała ostoję reakcji niemieckiej — junkierstwo pruskie — władze na obszarze sowieckiej strefy okupacyjnej przekazały zakłady przemysłowe aktywistów hitlerowskich i przestępców wojennych na rzecz samorządu poszczególnych prowincyj i krajów. W ten sposób pod okupacją sowiecką zrealizowano konsekwentnie demokratyzację życia gospodarczego zgodnie z literą i duchem postanowień poczdamskich.

Mimo upaństwowienia wielkich fabryk, koncernów i karteli, małe i średnie warsztaty przemysłowe prywatne zajmują w pięciu krajach wschodnich Niemiec ilościowo pierwsze miejsce, jak to ilustruje poniższe zestawienie, podane przez czasopismo gospodarcze „Die Wirtschaft" (nr. 3):

	przemysł upaństwowiony	przemysł prywatny	
Saksonia	1.002	12.500	zakładów
Saksonia-Anhalt	691	4.200	„
Brandenburgia	600	4.093	„
Turyngia	286	5.667	„
Meklemburgia	391	1.573	„

Przemysł upaństwowiony (landeseigene Betriebe) notuje stały rozwój swej produkcji i wzrost stanu zatrudnienia. Od lipca do grudnia 1946 r. ilość pracowników zwiększyła się ze 144.000 do 170.681. Wartość produkcji wynosiła w grudniu 1946 roku 65.740.000 mk.

Poszczególne gałęzie przemysłu podzielone są na grupy fachowe. W prowincji najbardziej uprzemysłowionej, mianowicie Saksonii-Anhalt obejmują one następujące działy produkcyjne:

Grupa	ilość zakładów	załoga
Węgiel kamienny	6	3.450
Energetyka	37	2.740
Kopalnictwo	5	580
Metalurgia	18	450
Budowa maszyn	63	3.470
Elektrotechnika	54	2.600
Chemia	82	3.780
Drzewo	51	2.380
Budownictwo	104	10.980
Papier i celuloza	41	2.420
Przemysł lekki	33	2.110
Cukrownictwo	57	8.530
Przemysł spożywczy	117	9.520
Żegluga, spedycja	23	1.940
Ogółem	691	54.950

W Turyngii przeważa przemysł lekki, niemniej jednak znajdują się okręgi o ważnym dla rozwoju życia gospodarczego znaczeniu:

Przemysł	maszynowy —	Erfurt	70	zakładów
„	elektrotech.	Erfurt	37	„
„	chem.-metalur.	Erfurt	41	„
„	budowlany	Weimar	39	„
„	tekstylny	Gera	41	„
„	opałowy	Altenburg	18	„
„	szklany i porc.	Ilmenau	40	„

Meklemburgia, która jest krajem o charakterze rolniczym, posiada 391 zakładów upaństwowionych, z których większość przypada na wytwórczość spożywczą.

Brandenburgia upaństwowiła 600 fabryk, podobnie jak Meklemburgia, zaopatrujących rolnictwo w potrzebne maszyny i sprzęt.

Zakłady przemysłowe krajów i prowincyj podlegają kontroli i nadzorowi ze strony autonomicznych rządów. Majątek tych fabryk należy całkowicie do państwa. Najwyższym czynnikiem administracyjnym jest zarząd główny (Hauptverwaltung), składający się z trzyosobowego dyrektoriatu dla spraw handlowych, technicznych i personalnych. Dyrektoriat ma do dyspozycji sztab wypróbowanych fachowców oraz specjalny wydział administracyjny, do którego należą przedstawiciele związków zawodowych i rad zakładowych. Biurokracja zakładów jest bardzo uproszczona, dzięki czemu koszty administracyjne są bardzo niskie. W Saksonii np. wyniosły one w r. 1946 tylko 0,46 proc. ogólnego obrotu.

Sytuacja socjalna pracowników, zatrudnionych w przemyśle upaństwowionym kształtuje się coraz lepiej. Każdy zakład i każda fabryka w myśl ogólnego planu, opracowywanego centralnie, jest zobowiązany prowadzić stołówkę i dzieciniec, posiada poza tym łaźnię, czytelnię i bibliotekę i zależnie od swej wielkości sanatorium robotnicze.

„CZARNE KOSZULE" ATAKUJĄ

Lewoskrzydłowy Ochmański

Środek napadu — Świcarz i lewy łącznik Szularz

Zeszłoroczny mistrz Polski, warszawska Polonia walczy zaciekle o pierwsze miejsce w swojej grupie. Groźny atak polonistów może zawsze sprawić przykre niespodzianki przeciwnikom. Pamiętamy dobrze największą sensację zeszłego sezonu, gdy Polonia w „jaskini krakowskiego lwa" wyeliminowała od dalszych rozgrywek swego najgroźniejszego rywala, Wisłę.

W tym roku pierwsze spotkanie Wisła — Polonia w Warszawie przyniosło wynik nierozstrzygnięty 2:2. Rewanżowy mecz odbędzie się w Krakowie dopiero 7-go września. Do tego czasu obaj rywale walczą z mniej groźnymi przeciwnikami, których nie należy jednak zbytnio lekceważyć, bo i w Swidnicy, Poznaniu czy Bytomiu też można stracić punkty.

FILM POLSKI

Cracovia jest obok AKS-u najpoważniejszym kandydatem do Klasy Państwowej z grupy drugiej

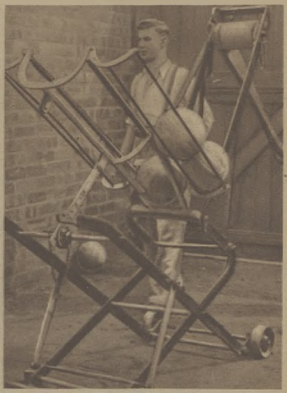

Takie maszyny mają piłkarze angielscy do treningu

REDAGUJE ZESPÓŁ WYDAWCA: SPÓŁDZ WYD. »PŁOMIENIE« * *REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, ul. GRAZYNY 8. TEL. 8-51-32 PRENUMERATA KWARTALNA ZŁ. 225 — Z PRZESYŁKĄ DO DOMU WPŁACAĆ NA KONTO P. K. O. WARSZAWA, Nr 1-4252*

Rotograwiura — Drukarnia Nr. 2. Sp. Wyd. „Czytelnik" — Warszawa. B-34668

SPORT WSZĘDZIE PANUJE

ZWIĄZEK RADZIECKI. Wyścigi „kolarzy" na ulicy Moskwy

SZWECJA. Najlepszy średniodystansowiec Europy Strand

NORWEGIA. Kaas w skoku o tyczce

ANGLIA. Tu jest popularny golf

FRANCJA. Reprezentacyjny bramkarz Du Rui broni wśród lasu nóg